

N<sup>o</sup> 16

WIMBP  
m.  
J. P.  
w.

ROK VI.

# PRZEBÓJEM

MIESIĘCZNIK

N<sup>o</sup> 1.

UCZNIOWSKI



DRUK J. CELKOWSKIEGO.

ROK ————— 1928

50,00



ci 119059/2009

BC02/413/10/10

# PRZEBOJEM

MIESIĘCZNIK UCZNIOWSKI POŚW. NAUCE I ROZRYWCE.

KUTNO NAD OCHNIĄ, Dnia 15 Października 1928 r.

Warunki prenumeraty: Kwartalnie 1,50 zł. Półrocznie 3,00 zł. Rocznie 5,50 zł.

ROK VI. | Cena 75 groszy z przesyłką 85 groszy | ZESZYT 7 (42).

TREŚĆ ZESZYTU 7-ego: Praca i obowiązek. O wdzięczności dla Matki. Do Matki. Wspomnienia z obozu na granicy. Powitanie pieśn. Rozw. kinematografji. Stroje w okolicach Worochty. Polowanie na dzikie kacuki. Życie w kropli wody. Pożar. Promienie D. D. Kronika.

Ś. † P.

## Dr. Antoni Troczewski

zasłużony i niezmordowany działacz społeczny, jeden z twórców naszej szkoły

zmarł dnia 22-ego września 1928 r. pograżając w głębokim smutku młodzież szkolną.

Cześć Pamięci Wielkiego Patrjoty.

### Praca i obowiązek.

Działaj, jakbyś miał wiecznie żyć...

Koledzy!

Przy rozpoczęciu roku szkolnego musimy zadać sobie pytanie: dokąd mamy kierować swe kroki, by w przyszłości być dobrymi obywatelami kraju, pożytecznymi członkami społeczeństwa? Znajdujemy jedną jedyną odpowiedź: do pracy, do obowiązku! Jeżeli te dwa hasła będą widniały na sztandarze naszej myśli i ducha naszego, to cel wytknięty napewno osiągniemy. Szkoła nasza stale stawia

nam przed oczy te dwie tezy, jednak, jak śmiem sądzić, wszystko to pozostaje często bez echa, nawoływania szkoły nie znajdują żadanego skutku. Że tak w istocie jest, postaram się dać kilka przykładów, wziętych z życia naszej młodzieży szkolnej, które świadczyć będą o braku poczucia konieczności pracy oraz o zaniku poczucia obowiązku. Nie będę rozpatrywał tutaj kwestji, jak dany młodzieniec pracuje jako uczeń, lecz jak pracuje on jako członek młodego społeczeństwa szkolnego. Będąc sam członkiem kilku instytucji społecznych, istniejących na terenie naszego gimnazjum, miałem i mam możność przekonania się, jaką jest nasza młodzież gimnazjalna. Przedewszystkiem więc da się zauważyć brak chęci do pracy społecznej, brak zrozumienia tego, co praca społeczna dać może, zanik poczucia obowiązku, a więc tego czynnika, który potrzebny jest człowiekowi do rozwoju życia duchowego. Wiemy doskonale o tem, że istnieją w gimnazjum naszym różne instytucje społeczne, których istnienie zależy tylko od pracy i obowiązkowości ich członków. Lecz jakże zachowują się ci członkowie? Powierzone im obowiązki zaniedbują, traktują je lekkomyślnie, wprost ironicznie.

Nie przychodzą tacy członkowie na zebrania, wyznaczone przez organy samorządowe, nie interesują się sprawami wewnętrznymi ani też zewnętrznymi instytucji. A przecież praca społeczna nie powinna być jednostkowa, lecz solidarna, ogólna, nie powinna być dziełem jednostek, lecz dziełem wszystkich. Słyszcy się nie z jednych ust, że tylko garstka chętnych pracuje w naszych instytucjach szkolnych, reszta zaś pozostaje bezczynna. I czemuż to przypisać? Tylko brakowi poczucia pracy, tylko brakowi zrozumienia roli, jaką ma odegrać w przyszłym życiu każdy młodzieniec — Polak.

Koledzy!

Ojczyzna nie wymaga od nas wiele. Wszak każdy najdrobniejszy wysiłek może się stać bardzo cennym czynnikiem rozwoju życia społecznego. Cóż więc pozostaje? — Zdobyć się na pewną ilość energii, nie opuszczać apatycznie rąk, mówiąc, że za mnie zrobią to drudzy — lecz pracować i wykonywać to, co jesteśmy obowiązani. Czytając pisma młodzieży z innych okolic naszego kraju, daje się zauważyć ta mrówcza praca nad podtrzymaniem życia społecznego i wielkie jej skutki.

Czyż mamy swojej pracy zaniechać i zająć mniej poczesne miejsce wśród młodzieży całej Polski? Sądzę, że nie byłoby to zbyt zaszczytnem ani dla nas samych, ani też dla naszej szkoły.

Przyjrzyjmy się chociaż (si licet) życiu zwierząt. Każde zwierzę spełnia swą przeznaczoną rolę i potrzebę pracy wyczuwa instynktownie, nie rozumiejąc jej wartości.

Jakże więc ma pracować człowiek, obdarzony inteligencją, silną wolą i rozumiejący wartość pracy?

Bądźmy przekonani, że praca i obowiązki, to niejako spoidła, które łączą ludzi i podtrzymują egzystencję społeczeństw. Ponieważ wszyscy stanowimy część społeczeństwa polskiego, którego dążenia mają się zlać w jedno ognisko, weźmy się więc z tą pracowitą garstką młodzieży do pracy, zasmakujmy w niej, a doznamy napewno rozkoszy duchowej, oglądając w przyszłości piękny gmach pracy i obowiązku — silną Polskę i zdrowe jej społeczeństwo.

A więc uczmy się pracować, pracujmy nietylko dla siebie lecz i dla potomnych, postępując w myśl przysłowia: „Działaj, jakobyś miał wiecznie żyć“...

T. G. Kl. VII.

## O wdzięczności dla Matki.

Wiemy, że największym skarbem człowieka jest życie, którego minione chwile nie wracają a straconych odzyskać nie można. Któż jest tym hojnym ofiarodawcą, któż bezpośrednio życiem nas obdarza? — Matka. Jej przeto, oprócz wielkiej miłości i przywiązania, winniśmy bezgraniczną wdzięczność za trudy, jakie poniosła, otaczając nas od pierwszych chwil życia najtkliwszą opieką.

Dziecko przychodzi na świat nieświadome uczuć, jakich już w niedługim czasie doświadczać poczyna. Z chwilą, gdy myśl opanowuje pierwotne instynkty, dotychczasowe jego przywiązanie i miłość uzupełnia wzrastająca w miarę poznania i zrozumienia wdzięczność. Wdzięczność można okazać Matce w różny sposób. Dziecko wyraża ją przez miłość a przez miłość i bezmierne zaufanie staje się posłusznym i zawsze gotowym do pełnienia drobnych swoich względem Matki obowiązków. Przystępując progi szkolne, ma ono coraz poważniejsze przed sobą zadania, coraz więcej piętujących się trudności do przezwyciężenia. Z chwilą tą dziecko staje się poniekąd samodzielny a narażone zewsząd na wpływy obce, niezawsze będące w zgodzie z ideałami, wyniesionymi z domu rodzicielskiego, ma szerokie pole do wykazania swoim postępowaniem, jak silnie wryły się w jego młodzieńską duszę matczyne zasady. Zwycięstwo — w tych nikłych napozór zapasach — to owoc pracy Matki, to najmilsza dla Niej nagroda.

O ile mamy dokładnie rozpatrzyć stosunek, zachodzący między wdzięcznym dzieckiem a Matką, nie możemy nie zwrócić uwagi, przez co i jak ono ową wdzięczność wyraża. Pamiętajmy, że każdy uczciwy sposób okazywania jej jest dobry, o ile nie wymuszony, lecz płynący z miłości i chęci wynagrodzenia trudów matczynych. Wdzięczność może dziecko ujawnić w najdrobniejszych okolicz-

nościach życia codziennego. Sprawi Matce równie wielką przyjemność, czy spowoduje ją uśmiech, zwrócony ku Niej, czy jakiś postęp, czy mniej lub więcej wartościowy podarek.

Gdy dziecko przeobraża się w dojrzałego człowieka, towarzyszyć mu stale powinno usiłowanie, streszczające się w tem, by Matkę otoczyć pieczołowitością oraz zapewnić Jej możliwie najlepsze warunki życiowe, aby tym sposobem wypłacać się Jej z zaciągniętego w latach dzieciństwa długu.

Obywatel kraju, w uczciwych wychowany zasadach — potrafi być wdzięcznym i ofiarnym nie tylko względem Tej, której życie zawdzięcza, ale także i dla tej ziemi, na której wzrósł i wychował się, a mając za podstawę moralną miłość silną, która go wiąże nie tylko z rodziną, ale i z współrodakami, stanie się godnym synem ojczyznanego kraju. Człowieka takiego nie złamią ani przeciwności, ani pokusy, ani obce naleciałości. Stać on będzie wiernie na powierzonym mu stanowisku, gotów walczyć z wszelkiem złem, jakie społeczeństwu jego zagrażać może.

Tak pojmowane powinności prawego obywatela kraju są wynikiem długoletnich wysiłków Matki. Umiejmy przeto być Jej wdzięczni. Wdzięczność — to jedno z najpiękniejszych uczuć, jakie się rodzą w sercach ludzkich. W stosunku do Matki jest ona najmilszym obowiązkiem. Umiejmy być Jej wdzięczni, umiejmy odplacić się Matce za Jej niezliczone i nigdy dostatecznie nie wynagrodzone trudy.

Postępowaniem swoim dajmy dowód, że Jej wysiłki nie były daremne, że dzięki Jej i z pomocą Bożą żyjemy i pracujemy z pożytkiem dla Niej i dla drugiej, starszej Matki — Polski.

ANDRZEJ CZAYKOWSKI. Kł. VI.

## Do Matki,

Pamiętasz, Mamo, te kochane chwile,  
Jak usypiany szmerem kołysanek  
Rączki do Ciebie wyciągał twój Janek,  
O bajkę jeszcze prosił Cię tak mile? —

Pamiętasz, Mamo, te kochane chwile,  
Gdym pod twem okiem w fali traw radosny  
Lotne uganiał po łące motyle,  
Sam lekki, jasny, jako promyk wiosny?

Pamiętasz, Mamo, jak małego Janka  
Uczyłaś kochać i Boga i ludzi;  
Jak zło wypleniać, gdy się w sercu budzi,  
Jak szukać prawdy jasnego poranka?

Czy ucieszyła Cię skromna wiązanka,  
Strojna otęczę polnych, wonnych kwiatów,

Niezapominek, maków i bławatów,  
Ów dar tak miły od małego Janka?

Czy ty wiesz, Mamo, że twój Janek duży  
Oddałby teraz wszystkie skarby świata,  
By wrócić mogły z bezkresnej podróży  
Czarowne, błogie, dawne, młode lata?

Kutno 24.IX.1928 r.

IKS (J. FASTYN) KI, VIII.

## Wspomnienia z obozu na granicy.

Przy matowem blasku księżyca i ciszy podolskiej nocy wyszliśmy na długą ciemną drogę. Echo marszowej naszej trąbki odbijało się od ciemnej zwartej masy lasu i wracało do nas w licznych odgłosach. Droga, po której szliśmy, wita się jak długa wstęga wśród wzgórz łagodnych, omijała rzeczki, rozgadane strumyki i ginęła w głębiach lasu. Wśród takiej przyrody i o takiej porze maszerowaliśmy, nie czując zmęczenia, więc weseli. Nasze rześkie, obozowe piosenki nie mąciły porządku światła wieczornego, ale więcej dodawały mu uroku. Humor tryskał to tu, to tam. Zaś gdzieś tam słyszano się rozmowy na temat wycieczki. Tak nagłego wymarszu wcale nie spodziewaliśmy się. Smaczna kolacja poszła do dołu, a męażki na plecak. W piętnaście minut potem wymaszerowaliśmy z obozu a oto teraz w pełnym rynsztunku zadowoleni i zaciekawieni maszerujemy nad wschodnią granicą.

Maszerujemy już z godzinę a przed nami wciąż rozciąga się szerokie pole i pusta, długa droga. A piosenki nie schodzą z ust naszych; jedna odkrywa drugą.

Naraz wchodzimy w głęboką kotlinę, gdzie w ciemnej masie drzew błyskają światełka słabe i chwiejne. Nie czujemy przyjemnego zapachu gotowanej wierzery, gdyż dawno już stróż nocny wybebniał w drzwi kijem: „gasić ogień“! Tylko przez małe szybki przebijają się sylwetki, znak, że ludzie jeszcze czuwają. Księżyc wychylał swą uśmiechniętą twarz z za wzgórz i zalewał je drżącą pożyłą.

Naraz stanęliśmy. To Komendant poszedł z Witkiem wystarać się dla nas o kwaterę. Każdy, gdzie mógł, wyciągał zmęczone pedały, podkładał towarzysza — plecak i odpoczywał. Za jakąś chwilę zjawił się Komendant, ale bez Witka i pomaszerowaliśmy na ów upragniony nocleg. Spanie wypadło nam w wiejskim hotelu, w... stodole. Spaliśmy na świeżej, szorstkiej słomie. Kilku, nie chcąc spać w stodole, wyniosło i rozłożyło się przed wrotami, mając za dach niebieskie sklepienie. Skorzystali na tem bardzo dużo... urosli. Nad samem ranem z przelotnej chmurki spadł deszcz i pokropił smacznie śpiących.

Raniutko na dźwięczny głos trąbki zerwaliśmy się na równe nogi. Niedługo trwało rolowanie koców, więc

wnet wyruszyliśmy rażno w drogę, chociaż z pustką w żołądku. Już dowiedziałem się, dokąd idziemy — do Skalatu. Po przejściu około trzech kilometrów wchodziliśmy do śpiącego jeszcze lasu. Dopiero pierwsze promienie słońca muskały najwyższe szczyty drzew. Płactwo ciągle spało. Przed nami zjawiał się czasem drżący, wypłoszony ze smacznego dmuchawca zajęć i zmykał czempredzej. Naraz las począł rzednąć i wyszliśmy na jego skraj. Przed nami w dole rozciągała się szachownica, pół a w dali jak na dłoni, w pierwszych blaskach słońca stało miasto.

— Skalat! Skalat!

— Ha! nareszcie.

— Już mi się jeść chce!

— Aż mi kruczy w dolku!

— O jej! jak mi się pić chce!

Zmęczeni się trochę chłopaki. O, muszą jeszcze trochę pocierpieć, bo do Skalatu jest jeszcze ze cztery kilometry. Ale tak z lasu, który zajmuje miejsce wyżynne, zdaje się być do miasta zupełnie blisko. W jakiś czas potem maszerowaliśmy po gościńcu, który zaprowadził nas do celu podróży.

Rozłożyliśmy się biwakiem na zamku skałackim. Nie w komnatach zamkowych, o nie! A gdyśmy wchodzili w bramę zamkową, nie witały nas śnieżnymi dłońmi wychylone z krążganków damy, czekające naszego powrotu. Witały nas tylko obliczem przeszłości potężne, tknięte tu i ówdzie zębem czasu, cztery baszty. Z zamku lochy tylko zostały. Burza wojenna i tu ślad zostawiła.

Bez śniadania (już ściągnąłem pasek o dwie dziurki) wyruszyłem do miasta. Drewniane domy, pochylone i omśzale od starości, wspierały się wzajemnie. Przed każdym domem znajdował się ganek, oparty na krzywych kolumnach. Kościół gotycki strzelał w niebo wysmukłą wieżą i odślaniał nad główną nawą herby Polski, Litwy i Rusi. Tu jednak nie wtargnęła dłoń zaborcy. Po mieście i za miastem w swoich czarnych togach przechadzali się patriarchowie rodów żydowskich. Pusto i cicho w tym miasteczku i tak spokojnie. Tu żyją ludzie cicho, zdala od świata wielkomiejskiego i wszystkich jego zabiegów. Tylko widzi się wszędzie patynę przeszłości — spróchniałe domy.

Wracam wreszcie na biwak i po obiedzie przy plusku deszczu wyruszamy w powrotną drogę. Niebo otwarło upusty, więc brodzimy po drodze jak kaczki. Nasze mundurki suchej nitki nie mają.

Naraz któryś z dotkniętych niedolą zaczyna śpiewać, a wszyscy wnet melodię podchwytną i maszerujemy radośnie ze śpiewem na ustach. Zrobiło się nam ciepłej.

Tak to wracała wiara do obozowych pieleszy, pieśnią harcorską krzepiąc ciało i ducha.



## Powitanie pieśni.

Spała cicho w najskrytszym zakamarku duszy,  
Młode śniła, cudowne, roześmiane sny;  
Serce było spokojnie wśród spokoju, głuszy —  
— Zawitały dni czaru — popłynęły lzy...  
Rozszalało się tętno młodej, bujnej krwi,  
Rozplakało się serce żałami tęsknoty...  
— Choć nieszczęsne z cichości i szarzyzny drwi,  
Bo wśród burzy zaświecił blask tęczowó-złoty.  
Wstała pieśń. Wzrok przebił osłonę błękitu,  
Gwiazdy minał — popłynął aż na nieba kraniec;  
— Przed Panem rozplomienił modlitwy kaganiec  
Pieśniarz, pełen miłości, bólu i zachwytu...  
Wydarł okrzyk radosny z płonącego łona —  
— Pieśni wielka, tyś moja, bądź błogosławiona!..

Kutno 14.IV.28 r.

IKS (J. FASTYN) Kl. VIII.

## Rozwój kinematografji.

W ojczyźnie dolara, giełdy, drapaczów nieba, życia płynącego wartkim strumieniem, słynny wynalazca lampy katodowej, stosowanej obecnie z wielkiem powodzeniem w radjotelefonji i telegrafji, Lee de Forest na początku roku 1925 uczynił wielkie udoskonalenie na nowem polu, mianowicie kinematografji, tej nowoczesnej muzy świata. Wynalazł on aparat kinematograficzny, który wyświetla filmy i odtwarza głos artystów. Ścisłe rzeecz ujmując, w bardzo sprytny, choć prosty sposób, dokonał on skojarzenia aparatu kinematograficznego z radjowym. Dla interesujących się bliżej tą sprawą podam pokrótce zasadę działania tego rodzaju aparatury. Taśma fotograficzna, potrzebna do tego celu, posiada po jednej stronie miejsce dla zdjęć toczącej się akcji, z drugiej zaś strony obok miejsce dla „filmowania“ głosu, ażeby dwa te czynniki przy wyświetlaniu występowały jednocześnie. Zdjęcia akcji odbywają się w znany dotychczas wszystkim zapewne sposób; fale zaś głosowe dostają się do mikrofonu, przemienione następnie na fale elektromagnetyczne zostają wzmocnione przez lampy katodowe, które znowu przesyłają je do t. zw. komór fotoelektrycznych, wypełnionych odpowiednim gazem. Światło, pochodzące z tychże komór i drgające w takt modulacji głosu, pada poprzez mały otwór na część taśmy fotograficznej, przeznaczonej do filmowania dźwięków. Oczywiście mamy automatycznie obok siebie biegące zdjęcia głosu i akcji. Wyświetlanie takiego filmu odbywa się odwrotnie do „nakręcania“ z tą jednak różnicą, że do aparatu wyświetlającego jest dodana mała lampka elektryczna, która ma za zadanie prześwietlić odbicia fal głosowych na kliszy i rzucić swe promie-

nie raz słabsze, raz silniejsze na czułe komory fotoelektryczne. Wreszcie fale świetlne, zamienione na elektryczne i wzmacnione, jako już fale głosowe rozlegają się na widowni.

Z chwilą pojawienia się tego wynalazku zdawało się wszystkim, że przemysł kinematograficzny pójdzie bezwzględnie w kierunku reprodukcji głosu artystów filmowych. Dziwna rzecz! Znalazło to wprawdzie bardzo przychylnie przyjęcie u publiczności amerykańskiej, tak żadnej wszelkiej nowości, ale później ozwały się głosy, które temu nowemu prądowi stanowczo się oparły. Obecnie jest to opinia szerszego ogółu. Zapytamy się jednak — czy takie stawianie kwestji należy uznać za uzasadnione? Bezspornie!

— Bo kino wówczas przestałoby spełniać swą zasadniczą rolę, zatraciłoby swoją odrębność, stałoby się mało-wartościowym surogatem teatru. A kino, to dziecko 20-go wieku, wcale nie ma zamiaru konkurować z teatrem. Nie potrafi go nawet nigdy doścignąć. Z drugiej zaś strony teatr nigdy nie osiągnie takiego szczytu wszelkich możliwości, jaki wznosi się przed potęgą kinematografji. Wykonanie jakiegokolwiek filmu może rozporządzać daleko większą ilością środków technicznych, doskonałość zaś zrealizowania przedstawienia teatralnego jest poważnie ograniczona ścianami scenicznymi, co też pociąga za sobą ubóstwo dekoracji i urozmaicenia, nawet przy najzdolniejszych i najbardziej wykwalifikowanych siłach fachowych.

Wracając więc do owego „filmu mówiącego“, postawimy słuszne pytanie: czy ta wielka myśl ludzka w postaci tak wspaniałego wynalazku ma przejść do historii jako nie dająca szerszego zastosowania praktycznego? — Bynajmniej!

Nie zmieniając w niczem urządzenia aparatu, zastosujemy go z niemniejszym powodzeniem do odtwarzania filmu nie „mówiącego“, lecz tz. „dźwiękowego“. Przy takim zastosowaniu będzie mógł widz, oglądając obraz, słyszeć jednocześnie huk rozszalałego żywiołu — morza, trzask piorunów, świst syreny okrętowej oraz niejednokrotnie doskonale przystosowaną ilustrację muzyczną. Fantazja widza, któraby doznała ograniczenia przy filmach „mówiących“, tutaj nie będzie niczem krępowana i będzie mogła przebiegać rozmaite zakątki krainy uczuć, wchłaniając w siebie wszystko indywidualnie. Wówczas będziemy mieli to nieklamane przeświadczenie, że widzieliśmy i słyszeliśmy coś o wielkich walorach artystycznych.

Ostatnio w Ameryce buduje się z niezwykłym pośpiechem aparaty do tego rodzaju filmów. Przedsiębiorcy zarabiają wprost nieprawdopodobne sumy. Znane na całym świecie i cieszące się wielkim uznaniem wytwórnie Hollywood'u, jak Paramount, Metro-Goldwyn, Fox-Film i inne rzucą na rynek światowy około 350 filmów „mówiących“

i „dźwiękowych“, tych ostatnich znacznie przeważającą ilość. Wszystkie te poczynania, choć poniekąd zakrojone na większą skalę, jednak są jeszcze w stadium rozwoju. Zainstalowanie aparatu kinematograficznego nowego typu jest rzeczą bardzo kosztowną, nadto aparat taki należałoby z tego względu bardziej uprościć i udoskonalić.

Jeszcze długo poczekamy, nim takimi nowoczesnymi aparatami będziemy się posługiwali w Europie. Sami przedsiębiorcy europejscy, wyrabiający dzisiejsze aparaty, nie będą się zbytnio kwapić z wypuszczeniem nowych ze względu na brak odpowiednich patentów. Jeszcze nieprędko więc zajdzie zupełna zmiana w dzisiejszej kinematografii.

Jesteśmy dopiero we wczesnem przedwiośniu wielkiej ewolucji kinowej.

S. AKTABOSKI. Kł. VII.

8.X.1928 r.

## **Stroje ludowe w okolicach Worochty.**

Typowe stroje ludowe stają się w naszym kraju coraz rzadsze. Obecnie w Polsce niema prawie okolic, w których ludność nosiłaby swe dawne stroje. Takie stroje można spotkać tylko w Łowickiem, w okolicach Zakopanego i w polskiej części Beskidów Wschodnich.

W miarę wzrostu kultury wieś coraz bardziej się urbanizuje i w miarę tego coraz bardziej giną stare zwyczaje i charakterystyczne stroje. Teraźniejsza, dorastająca młodzież wiejska coraz bardziej wstydzi się swych dawnych strojów i stara się być ubrana modnie. Dlatego też tylko starzy wieśniacy, lub górale noszą dawne, typowe stroje, ale obecnie nawet i oni zaczynają mieszać dawne stroje z nowymi. Możliwe, albo nawet i pewne jest, że stroje typowe wkrótce całkowicie znikną. Dlatego zadaniem krajoznawcy jest zbierać, fotografować i opisywać niknące już stroje. Podjąłem się więc opisania strojów z okolic Worochty. Zanim przystąpię do szczegółowego opisu strojów huculskich, ogólnie wspomnę o ludowej sztuce Huculów. W tamtych stronach wytworzyła się sztuka ludowa, zupełnie odrębna od zakopiańskiej. Ceramika u Huculów stoi dosyć nisko, jednakże śliczne są ich wyroby snycerskie, polegające głównie na inkrustacji pudełek i kasetek masą perłową, różnokolorowem drzewem, koralikami oraz różnemi metalami.

Strój Huculów jest barwny, a czerwony kolor, którego chętnie używają, odbija się bardzo ładnie od zieleni lasów i łąk. Strój odświętny jest dużo barwniejszy i charakterystyczniejszy od codziennego, dlatego też mam zamiar opisać ten pierwszy.

Koszule noszą Huculi przeważnie białe, a serdaki bogato wyszywane. Te ostatnie można nabyć tylko w Wo-

rochcie u specjalnie zajmującego się ich wyrobem kuśnierza. W Kosmoczu posiadają Huculi nawet własne warstwy wyrobów sukiennych. Mężczyźni mają koszule z białego samodziła, na zakończeniach rękawów i kołnierza oraz na ramionach wyszyte różnobarwną włóczką w ładne desenie. Na koszule kładą skórzane serdaki zdobne blaszkami mosiężnymi, obramowane po brzegach futerkiem. Spodnie mają sukienne, koloru białego, sięgające poniżej kolan. Na nogach noszą getry, sięgające do połowy łydek i zakończone barwnym szlakiem. Właściwym ich obuwiem są kierzce skórzane, przywiązane do nóg podobnie jak obuwie greckie. Takie kierzce można dziś zobaczyć bardzo rzadko. Jako przykrycia głowy używają kapeluszy z przypiętym z boku piórkim. Również często można spotkać Huculów, palących długie i bardzo charakterystyczne fajki, których zbliżania nie miałem jednak sposobności oglądać.

Strój Huculek jest podobny do stroju Huculów. Ich białe koszule są również wyszywane kolorową włóczką, lecz tylko na zakończeniach rękawów i na ramionach. Są jednak o wiele dłuższe, bo sięgają poniżej kolan. Kobiety noszą zupełnie takie same serdaki jak i mężczyźni. Zamiast spódnicy noszą dwa grube i długie fartuchy przywiązane w pasie, jeden z przodu, a drugi z tyłu, które są podobne do spódnicy rozciętej po bokach. Na głowach noszą kobiety kolorowe chustki.

B. OYRZANOWSKI. Kł. VI.

## **Polowanie na dzikie kaczki.**

Są różne sposoby polowania na dzikie kaczki. Sposób polowania zależy od terenu, pory roku i czasu. Polowania z naganką odbywają się przeważnie na terenach większego gospodarstwa rybnego. Myśliwi są ustawieni z jednej strony stawu, a naganka, składająca się z kilku lub kilkunastu ludzi, rusza z grobli, leżącej naprzeciw. Naganiacze idą linią co jakieś 80 kroków, od czasu do czasu pokrzykują lub uderzają kijem w wodę, gdyż kaczki są bardzo czujne i wystarczy taki hałas, żeby się zrywały na kilkadziesiąt kroków przed naganką. Myśliwi, rozstawieni na grobli, strzelają do przelatujących kaczek. Zabite kaczki wyżył aportują z wody. Oprócz tego rodzaju polowania, są podobne polowania bez naganki, tak zwane ciągi i wzloty.

Ciągi dzikich kaczek odbywają się wieczorem, kiedy ptactwo wodne rozlatuje się na sąsiednie pola. Myśliwi, stojący w miejscach, nad którymi ciągnie najwięcej kaczek, strzelają do nich. Takie polowania niezawsze się udają, gdyż bardzo często kaczki lecą za wysoko, a wieczorny zmrok nie pozwala ani na ocenę odległości, ani na dobre wycelowanie. Wzloty odbywają się mniej więcej na dwie godziny przed wschodem słońca. Ten rodzaj polowań jest

możliwy tylko na dużych stawach i jeziorach, jeżeli te posiadają wysepki lub specjalnie urządzone dla strzelców stanowiska. Strzelanie do kaczek z łódki jest bardzo utrudnione z powodu jej kołysania się i dlatego, że trzeba strzelać, siedząc. (Strzelać, stojąc w łódce, nie można, ponieważ siła wystrzału wywróciłaby myśliwego i łódkę.)

Polowanie, które chcę opisać, było właśnie wzlotami.

Terenem polowania był ogromny staw o powierzchni 90 mórg i głębokości, dochodzącej w niektórych miejscach do siedmiu metrów. Brzegi stawu zarośnięte były trzcina i oczeretem. Na gładkiej tafli wodnej znajdowało się kilka małych wysepek, porośniętych wysoką trzcina i krzakami olszyny. Z jednej strony stawu była szeroka grobla i młyn wodny, z pozostałych stron otaczała go łąka i inne stawy. Naprzeciw grobli wpadał do stawu strumyk.

W oznaczonym dniu wstaliśmy o godzinie trzeciej rano. Na dworze już szarzało. W dwanaście minut przyjechaliśmy nad staw. Na grobli czekali na nas rybacy z łódkami. Robiło się coraz widniej, z wody zaczynały się podnosić opary, nie pozwalające nam widzieć dalej, jak na kilka kroków. Wsiadliśmy po dwóch do każdej łódki i zajęliśmy miejsca na ławeczkach, mokrych od porannej rosy.

Rybacy chwycili za wiosła i odbiliśmy od brzegu a fale, uderzające o boki łódki, pluskały charakterystycznie. Po kilku minutach ujrzeliśmy jedną z wysepek, do której zmierzała nasza łódka. Kiedyśmy stanęli, mój towarzysz wszedł po schodkach na drewniany pomost, tak dobrze ukryty w trzcinie, że z odległości kilku kroków był zupełnie niewidoczny. Pomost taki nazywa się stołem. Udałem się do następnego, o kilkaset kroków leżącego stołu. Rybacy z łódkami pochowali się w trzcinach niedaleko myśliwych, aby zbierać zabite kaczki, które mogłyby popłynąć z prądem.

Słońce zaczęło wschodzić. Wyglądało wspaniale przez poranne mgły, rozpostarte na kilka metrów nad wodą. Dzień zapowiadał się śliczny, wiatr bowiem ucichł zupełnie. Przyroda zaczynała się się budzić ze snu. Tu i ówdzie dał się słyszeć szum skrzydeł i kwakanie; to dzikie kaczki krążyły nad stawem, budząc swe towarzyszki, by leciały na sąsiednie rżyska; w górze ciągnęły klucze żórawi z rozgłośnym klangorem, w nadbrzeżnych trzcinach dał się słyszeć głos bąka, któremu towarzyszył rechot żab.

Nagle huk wystrzału wstrząsnął cichem powietrzem, za nim jak gdyby echa odezwwały się inne...

Polowanie rozpoczęło się. Zrobił się hałas a przestraszone nim ptactwo leciało wprost na myśliwych. Na wodę spadał co chwila deszcz śrutu i martwy ptak. Nie mieliśmy czasu nabijać strzelb, gdyż kaczki latały pojedynczo, a przez mgłę nie można było dobrze obliczyć odległości tak, że do jednej kaczki strzelało nieraz kilku myśliwych. W błąd wprowadzały nas często łyski, które

w lecie nie latają, dopiero jesienią, przed samym odlotem ptactwa. Mięso ich jest twarde i przesiąknięte tranem, wobec tego nie nadaje się do jedzenia.

Mimo tych niebardzo sprzyjających warunków polowanie udało się. Zabiliśmy dwadzieścia dwie kaczki, cztery łyski i jastrzębia. Jak na pięciu myśliwych było to wcale dużo.

P. Z. NARBUTT. Kł. VI.

## Życie w kropli wody.

Akwarjum, które stoi w naszym gabinecie przyrodniczym jest czworosciennym szklanym naczyniem. Akwarjum daje nam możność obserwowania życia zwierząt wodnych; nie tylko ryb, ale i niższych gatunków jak n. p.: ślimaków, owadów wodnych, wymoczków i t. p. Jeżeli wodę w akwarjum obserwować będziemy gołym okiem, zauważymy trochę mętnej wody, wśród której znajdują się różnego rodzaju rośliny n. p. moczarka kanadyjska, żabiściek pływający, rzęsa wodna i t. p. Wśród tych roślinek pływają małe rybki. Prócz tego spostrzeżemy na dnie akwarjum dość grubą warstwę nagromadzonego osadu, który utworzył się z różnych zgniłych części roślin. Moglibyśmy to zobaczyć gołym okiem. Jeżeli będziemy obserwowali kroplę wody, wziętej z akwarjum przez mikroskop, spostrzeżemy niezliczoną ilość drobno-ustrojów. We wszystkich kierunkach poruszają się szybko wymoczki. Ciała ich są utworzone z galaretowatej masy, powierzchnię ich pokrywają rzęski, które są w ciągłym ruchu i powodują przesuwanie się wymoczków. Kształty wymoczków są rozmaite. Jedne mają ciała wydłużone, drugie kuliste, inne mają kształt trąbki, jeszcze inne dzwonka, osadzonego na długiej nóżce. Niektóre z nich posiadają rzęski a u niektórych brak ich. Do najpospolitszych wymoczków należą: wirzyk, trąbik i inne. Wymoczki odgrywają ważną rolę w przyrodzie, oczyszczają bowiem wodę z różnych gnijących odpadków a same zaś służą za pokarm innym stworzeniom.

\* \* \*

Do niedawna sądzono, że dla zbadania wody do picia wystarcza zbadać jej skład chemiczny, ażeby dowiedzieć się o ilości rozpuszczonych w niej szkodliwych dla zdrowia substancyj, np. czy woda jest zanieczyszczona wydzielinami człowieka lub zwierzęcia, w których mogą znajdować się zarazki chorobotwórcze. Obecnie wiemy, że takie badanie byłoby niedostateczne, bo woda może przepływać przez różne warstwy ziemi, przez które przepływając, rozpuszcza pewne związki chemiczne, szkodliwe dla człowieka, lub mogą przedostać się z nią bakterje chorobotwórcze. Dlatego bada się obecnie teren, na którym

znajduje się studnia i samą wodę pod względem fizycznym i biologicznym.

\* \* \*

Wróćmy do naszej kropelki wody pod mikroskopem. Oprócz wymoczków możemy znaleźć bakterje. Mają one kształty punkcików, pałeczek, nitczek prostych lub skręconych. Bakterje żyją gromadnie albo pojedynczo. W pierwszym wypadku tworzą kolonję, wyglądają one różnie: mają kształt koralii, tafelek, winogron i t. p.

Obserwujmy teraz pojedynczego wymoczka. Jakże to zrobić, kiedy wszystkie nieustannie poruszają się? Otóż, ażeby je unieruchomić (jednak nie zabić), puszczaemy trochę roztworu gumy arabskiej na szkiełko z badaną kropelką tak, aby roztwór połączył się z wodą. Guma znacznie wnikać do wody, w której są wymoczki. Po pewnym czasie ruch wymoczków stanie się powolniejszy, aż wkońcu zupełnie ustanie. Kiedy wymoczek będzie uwięziony, bez przeszkody możemy obserwować budowę jego ciała. Jak już wyżej wspomniano, ciało wymoczka jest galaretowate i przezroczyste, na powierzchni zaś ma rzęski, które poruszają się zwolna to w jedną, to w drugą stronę. Ruch tych rząsek nie jest bynajmniej bezładny. Każda rząska pochyła się w ślad za drugą, co sprawia wrażenie falującego zboża pod naporem lekkiego wiatru. Ruch rząsek wytwarza prąd wody, który unosi z sobą bakterje i znosi je do jednego miejsca ciała wymoczka, gdzie z odrobiną wody bakterja przedostaje się do wnętrza wymoczka. W tem miejscu jest zagłębienie w kształcie otworu gębowego. Pochłonięte przez wymoczka bakterje ulegają trawieniu a następnie niestrawione części pokarmu usuwa drobnoustrój nazewnątrz. Pochłanianie i wydzielanie pokarmów odbywa się w specjalnie do tego celu przeznaczonym miejscu.

W jednym miejscu kropelki zauważyliśmy jakiegoś wymoczka o kształcie dzwonka z długą nóżką. Cóż to jest za wymoczek? Jest to t. z. wirezyk, bardzo pospolity gość akwarjum. Wirezyk posiada rozszerzoną tarczę, pokrytą rząskami. Ku dołowi ciało jego zwęża się i przechodzi w cieką nóżkę, zapomocą której przytwierdza się on do podłoża. Jeżeli przypatrzymy się dokładnie wirezykowi w wodzie niezgęszczonej, zauważymy jego powolne kurczenie się i rozkurczanie. Ciało wirezyka składa się z błonki, protoplazmy, wodniczek, przedsiönka lyskowatego, wakuoli tętniących i jąder. Wymoczki rozmnażają się przez podział. Czasem możemy obserwować skomplikowane zjawiska, towarzyszące procesowi rozmnażania. Dwa wymoczki łączą się z sobą w ten sposób, że ciała ich przylegają jamami gębowymi do siebie. W tym czasie duże jądra zanikają a jąderka małe dzielą się i później następuje zamiana między wymoczkami podzielonych już jąderek.

Pod pewnym czasie w każdym osobniku pojawia się

nowe jądro, które utworzyło się z części jąderka jednego wymocзка i z drugiej części jąderka drugiego osobnika. To zaś jądro po pewnym okresie czasu u każdego wymoczka dzieli się na dwie nierówne części, które tworzą duże i małe jądro. Po odbytych procesie następuje zwykle dzielenie się wymoczków.

Te wszystkie piękne zjawiska w kropelce wody znikają, kiedy wyjmieni szkiełko z pod mikroskopu. Wówczas staje się niewidocznym ciekawy świat drobnoustrojów. Widzimy tylko kropelkę nieco mętnej wody.

KRÓLIK. Kl. V-ta.

## P o ż a r.

Oparłszy się o poręcz fotelu, zagłębiłem się z wielkim zainteresowaniem w dzieło p. t. „Przedwiośnie“ Stefana Żeromskiego. Nagle oderwałem oczy od przed chwilą odwróconej kartki i skierowałem wzrok na zarosłe dzikiem winem mury fabryczne, skąd dochodziły moich uszu jakieś niebywałe krzyki, jakby przerażenia. Wtem zauważyłem, że ulicą biegnie w największym pośpiechu mężczyzna, krzycząc głośno.

Zerwałem się i odkładając książkę pobiegłem do niego, pytając go, co się stało?

„Pała się warstata“ — brzmiała lakoniczna odpowiedź. Zaskoczony tą wiadomością szybko skierowałem się w stronę tkalni. Skoro stanąłem u jej wejścia, spostrzegłem czerwone czupryny ognia, wychylające się z okien, drzwi, szczelin i otworów.

Na dziedzińcu fabrycznym panował zamęt nie do opisanania: ludzie z krzykiem, niemal obłąkani, biegali dookoła budynku, nie wiedząc, jak się zabrać do ratowania. Lecz złowieszczy, czarny dym, pełen ognistych języków, zaczął lizać po wierzchu mury i pułap. Nadjechała z dzwonieniem i przeraźliwym odgłosem trabki straż ogniowa. Pomimo usilnych starań budynki warstatów stawały się pastwą ognia, który, jak żywa istota, pełzał po murach, wdrapywał się na dach i krwawymi pręgami przesunął się nad dziedzińcem a pobudzany wiatrem, falami przelewał się nad fabryką.

Groźnie zapowiadała się noc bardzo ciemna a silny wiatr podsyczał płomienie i targał je, jak włosy, na wszystkie strony. Gdy dachy już zaczęły się z trzaskiem zapadać, słupy płomieni krwawych leciały migającymi iskrami na duże opodal szumiące szuwarami jezioro, wstęgą czarną i straszną, a taka była potęga groźnego żywiołu, że ludzie milkli i stali w osłupieniu bezradni, lub z trwogą cofali się. Coraz częściej powtarzał się krzyk zgrozy i lęku, ale ginął w chaosie trzasku pękających murów.

Pożar był dalej triumfalny hymn zwycięstwa i powiewał czerwonymi językami ognia niby chorągwia zniszczenia.

WŁODZIMIERZ SZENAJCH. Kl. VI.



## Promienie D. D.

(Nowela.)

Dokończenie.

Nie mi nie jest... dajcie mi spokój.

Nad leżącym bez ruchu Kryskim pochyliło się kilku marynarzy.

— Lepiej poszukajcie reflektorami po wodzie, czy załoga strąconego aparatu gdzie nie wypłynęła -- wydawał rozkazy — zawołajcie porucznika Barczyka!

Jestem kapitanie — odezwał się głos w ciemności — przejdźmy do kajuty, deszcz zaczyna padać.

Niech mi pan pomoże, boli mię ta rana...

Po wąziutkich schodach dostali się do jasno oświetlonej kajuty.

Poruczniku Barczyk, obejmie pan dowództwo nad eskadrą. Ja wychodzić nie mogę.. Proszę podać szyfrem depeszę o potyczce... proszę zarządzić holowanie uszkodzonej „trójki“. Będzie pan łaskaw wypuścić na wolność Dorlicza.

Jakto?! — uwięził go pan pod zarzutem, że podał fałszywe nazwisko, teraz go pan zwalniam!

Tak, to mój rozkaz nieodwołalny, zrozumiano?.. zresztą ja panu to wytłumaczę, proszę, niech pan siądzie. Ten, któregoście przywieźli na okręt, Dorliczem nie jest. Wprowadźcie wierzę jego zeznaniom co do przybrania nazwiska, lecz powodowany osobistym uprzedzeniem, kazałem go uwięzić. Czy panu to wystarczy?

Niezupełnie — odrzekł Barczyk.

Ha! w takim razie powiem panu wszystko, może mi to ulży. To mój dawny przyjaciel... mieliśmy pojedynek amerykański o... ach, mniejsza o to, dość, że wyciągnąłem czarną gałkę... zasad pojedynku nie dotrzymałem, dotąd żyję, zbyt cenilem tę marną ziemską powłokę duszy, ciało... nie mogłem znieść jego towarzystwa... uwięziłem go... tak, był to postępek więcej niż nieczny, teraz to rozumiem. Resztę dopowiedzieć może panu sam Czapski, takie jest jego nazwisko. Niech pan wraz z moją śmiercią, jaką by ona nie była, sporządzi raport, że umarłem wskutek odniesionych ran w potyczce z samolotami — rozumie pan? Niech pan przyrzeknie, że spełni mą prośbę... no...

— Przyrzekam — uroczyście odpowiedział Barczyk.

Wyszedł. Wtem do uszu jego doszedł stłumiony wystrzał rewolwerowy; wpadł do kajuty Kryskiego. Na środku pokoiku leżał kapitan z przestrzeloną piersią. Barczyk wszystko zrozumiał — pojedynek amerykański — wziął za puls — nie żyje — wyszeptał.

Na stole leżał dokument, zdający mu dowództwo nad eskadrą.

Na drugi dzień odbył się pogrzeb. Długimi dwoma

szeregami stała załoga na trzech torpedowcach, salutując chwilę spuszczenia zwłok kapitana w nurty oceanu. Raport, przeczytany przez Barezyka, podawał jako przyczynę śmierci upływ krwi z otrzymanych ran.

---

Na lotnisku zakładów lotniczych pod Richmond ląduje ogromny „Larsen“. Do samolotu podbiega służba lotniskowa. Z kabiny wychodzi Dorlicz. Udaje się wprost do kantoru zakładów, za chwilę łączy się telefonicznie z konsulem niemieckim.

Czy to pan konsul? — mówi Dorlicz... Dorlicz... tak... prawie się nie udało, trudno, jeden torpedowiec pójdzie na dno, dostał w sam środek, jeden nasz samolot udało im się stracić, załoga zginęła, bronili się dzielnie, jak na Polaków przystało... atak prowadziłem sam... no ale sprawa jeszcze nie przegrana... mam doskonałą myśl... będę dziś jeszcze u pana.

---

Na ulicach Warszawy ożywienie. Przed redakcją Kurjera Warszawskiego zebrał się tłum ludzi, wyczekujących wiadomości. Nowa wieść zelektryzowała wszystkich — promienie D. D... cóż to jest? jakiś wynalazca Dorlicz... nic jasnego. Dziś podobno przyjechał. W kołach technicznych krążyły pogłoski, krzyżował się stek najprzeróżniejszych nazw technicznych: promienie, kondensatory, induktory, elektryczne soczewki, wszystko to, zmieszane w bezładny chaos, w żaden sposób nie wyjaśniało nic zwykłym śmiertelnikom.

Najswieższa wiadomość — krzyczeli roznosiciele gazet. Niezwykłe przygody tajemniczego wynalazcy — walka stoczona na Atlantyku — podróż łodzią podwodną z Bordeaux do Gdyni.

Gazety rozłapano w mgnieniu oka. Za chwilę cała Warszawa wiedziała o wszystkim.

---

Cisza przed burzą — ulicami suną auta, wszystkie sklepy Warszawy pozamykano, ruch osobowy pociągów wstrzymano. Od czasu do czasu wśród ryku kleksofonów przebiegają samochody wojskowe. Cudny wieczór — zachodzące słońce złości dachy domów, lekka mgła powoli wznosi się ponad ulice, nic nie przepowiada zbliżającego się nieszczęścia. Jedyne od strony Mokotowa dochodzi nieustanny cichy warkot silników. Naraz syreny niektórych fabryk zajęczały żałośnie. Jęk ten był tak smutny i tak przykry, że nerwami wszystkich mieszkańców Warszawy wstrząsnął dziwny dreszcz strachu. W ryku tych syren było wszystko — odezuto tajoną bojaźnią, odezuto westchnienie żywej istoty, żegnającej się z życiem. Po tłumach, wylegających na ulice, przebiegła hjobowa wieść: nieprzyjacielskie samoloty lecą na stolicę. Ludzie odrętwieli, wszystkich oczy zwrócone były w górę w oczekiwaniu

nieprzyjaciela. Ten przeolbrzymi tłum miał swą twarz, ogromną fizjognomię skurezoną bólem, można na niej było wyczytać niemy wyraz trwogi i niezdecydowania -- uciekać? zapóźno — czekać? pewna śmierć...

Powoli i nieśmiało odezwały się dzwony kościołów — zamilkł ryk syren. Tłum jak na komendę padł na kolana — wzniosły się ręce i pod strop nieba popłynęła cicha, lecz gorąca modlitwa.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje — przy akompaniamencie dzwonów powtarzano słowa błagania, czekając cudu, bito czołami o zimne głązy jezdni a prośba o zmiłowanie brzmiała jak nakaz.

Za cóż nas karzesz, o Boże — szedł szept westchnienia za gorącymi słowami modlitwy.

Na skrócie ulicy ukazało się olbrzymie ciężarowe a to wojskowe, jechało wprost na kłęczących, nikt nie powstawał. Żołnierz prowadzący olbrzymią maszynę nie zważał na przeszkodę, wjechał w zbiorowisko ludzi i w śpiewne słowa błagania — jako i my odpuszczamy naszym winowajcom — wżarł się straszny niehumaniczny ryk bólu i przekleństwa. Modlitwę kończono. Auto stanęło w samym środku masy ludzkiej, naznaczywszy przebytą drogę szeregiem wijących się w ostatnich konwulsjach ciał ludzkich. Patrzono na to tak obojętnie, cóż bowiem znaczyło kilkudziesięciu zabitych wobec zbliżającej się śmierci tysięcy.

Na głowy tłumu posypał się formalny deszcz masek przeciwgazowych, zrzuconych z auta — zrozumiano — z wściekłym rykiem rzucono się na zdobycz, wydzierano ją sobie i tłum, który przed chwilą przedstawiał obraz pokory, teraz zamienił się w bezładną, krzykliwą zgrają walczących z sobą stworzeń. Auto odjechało dalej, by rozwozić jedyny środek ratunku przed śmiercionośnym gazem.

Naraz wszystkie ulice poczęły napępniać się kłębamii białego dymu — zasłona dymowa — odzywały się głosy — nieprzyjaciel w pobliżu. Miasto całe tonęło w białej opończy dymów. Ludzie poczęli pośpiesznie chować się po bramach. Naraz do uszu wszystkich doleciał klekot silników a w ślad za nim odezwały się potężnym echem opustoszałych w jednej chwili ulic, wybuchy pocisków lotniczych — atak zaczęto — lecz zaczęto i obronę. Z lotniska mokotowskiego z pośród leżących nisko dymów w równych odstępach czasu wypływały w przestrzeń samoloty pościgowe. Walka wrzała nad samą Warszawą, choć nikt z jej mieszkańców walki tej nie widział — dymy zasłaniały wszystko. Od czasu do czasu dał się słyszeć stukot karabinu maszynowego lub potężny wybuch pocisku. Od czasu do czasu względna ciszę rozdzierał głośny huk — to spadające samoloty. Wiedzano, że tam w górze, ponad białymi dymami, rozgrywa się walka bez pardonu, walka zwierzęca, może więcej niż zwierzęca bo walka potwornych

mechanizmów, od rezultatu tej walki zależało życie pięknej stolicy.

W nieszkodliwy dym wżarł się gryzący powiew gazu. Pośpiesznie zaczęto zakładać maski. Teraz rozegrała się jedna z najstraszniejszych tragedji wojny. Strach było patrzeć na to bezprzykładne zmaganie się ludzi, na te straszne bójki o zdobycie maski. Niestety dla wszystkich ich nie starczyło. Wydzierano je sobie pośród krzyków — prawem była pięść a nierzadko nóż czy rewolwer. Zbliżająca się śmierć przeistaczała ludzi w zwierzęta. Gaz dostawał się już wszędzie a nikt w obawie utraty zdobytej maski nie zakładał jej. Ginęli z premedytacją, lecz drugim nie dali. Szaleń i bólem wykrzywione twarze tworzyły harmonję z nastrojem chwili.

Tymczasem na lotnisku wrzała praca. Jedyłą przeciw obroną były nieliczne w stosunku do nieprzyjacielskich kadry wojsk lotniczych. Toteż walczono zaciekle, bez wytchnienia. Nie zrażały lotników wiadomości straszne, każdy czekał swej kolejki, siadał do aparatu i jechał by ginąć, lecz jednocześnie by bronić i zwyciężać. Nie zrażało ich to, że Warszawa pali się w kilkunastu miejscach. Cóż znaczy kilkanaście palących się domów, kiedy Ojczyzna w niebezpieczeństwie? Każdy z nich rozumiał, że jeszcze godzina nieodpartego ataku a stolica Polski istnieje przestanie. Szeptem pytano — coż robi ten Dorlicz? — wszak obiecywał tak wiele — lecz nikt nie mógł dać na pytanie odpowiedzi. Spoglądano z niepokojem poprzez szkła masek na wyniesioną ponad dymy gazów część zabudowań lotniskowych. Tam w rękę jednego człowieka ważyły się losy Warszawy.

Na lotnisku pozostały zaledwie cztery samoloty.

— Wzywać pomocy? — przemknęło przez myśl do wódcem — nie, nie można — słyszeli odpowiedź sumienia — nie można, za kilka minut takie samo nieszczęście może spotkać i inne ośrodki. Nie...

Nad Warszawą w obecnej chwili znajdowało się około trzydziestu nieprzyjacielskich aparatów, czoło im stawało dziewięć polskich...

Samoloty polskie jak na komendę poczęły odwrót... pokolei lądowały na lotnisku. Dał się słyszeć syk dziwnej maszyny, umieszczonej na płaskim dachu jednego z hangarów.

Promienie D. D. działają — przeszedł szmer po założdze lotniska — teraz się zacznie.

— Skutek tych promieni śmierci był straszny. Wszystkie samoloty nieprzyjacielskie kolejno wlokąc, za sobą smugi czarnych dymów, padały rażone dziwnym prądem. Trzask trzydziestu rozbijających się aparatów i miasto

całe zaległa cisza — wszyscy czuli bicie swych serc, a na ustach każdego cisnęły się słowa: wolni... Warszawa ocłona. Dymy gazów opadły. Oczom pozostałych przy życiu przedstawił się obraz straszny. W gruzach leżała czwarta część Warszawy. Czarne szkielety dymiących jeszcze gmachów sterczały groźnie. Ulice zaścielała masa trupów; konwulsyjnie wykrzywione ich twarze dawały dowód śmierci strasznej. Gdziekolwiek czerwienily się kałuże skrzeplej krwi — dowód bratobójczej walki o życie.

— Nie pytano, kto Warszawę obronił, kto zniszczył wroga, wystarczyło im, że żyją.

— — — — —

W sztabie nieprzyjaciół poruszenie. Ostatnie niepowodzenie zbombardowania Warszawy, utrata około pięćdziesięciu aparatów, poważnie zaniepokoiły dowódców sił niemieckich. Zaintrygowały ich rezultaty zastosowania tajemniczych promieni. Wiedzieli, że wynalazca był już w Berlinie i wspólnie z niemieckimi inżynierami konstruował jakiś specjalny samolot, na który według jego zapewnień promienie działać nie będą. Postanowili przy pomocy tego aparatu atak na Warszawę ponowić. W niepowodzenie wierzyć nie mogli, równało się ono bowiem przegranej i wojnę trzeba było zakończyć bez korzystnego rezultatu.

— — — — —

Boże, co zrobiłem, więc już jestem najpodlejszym zdrajcą. Czyż teraz będę śmiał spojrzeć komu w oczy?

Po ciemnym pokoju chodzi zgarbiony przeżyciami Dorlicz.

— Cóż zrobiłem — myśli dalej — dla osobistej ambicji poświęcam Ojczyznę... to straszne!

Zapalił światło. Na stole leżał najświeższy numer gazety warszawskiej.

Żeby nie ta wiadomość, poleciałbym jutro niszczyć swoje rodzinne miasto — zniszczyłbym stolicę Ojczyzny. Jednakże ten Czapski to człowiek honoru, wynalazku sobie nie przywłaszczyl.

Spojrzał jeszcze raz na gazetę; na pierwszej stronie wielkimi literami: „Dorlicz zbawcą kraju“, „Tajemniczy wynalazca“.

Zrozumiał, że źle zrobił — pomyślał sobie Dorlicz — i nie chce się pokazywać nikomu na oczy... No tak, a może on wierzy w mój rychły przyjazd i nie chce się podawać za wynalazcę... Nie, w każdym razie ja do zguby Ojczyzny ręki nie przyłożę, niech mnie ci szwabi zamordują, samolotu im nie dam.

Ha! Ha! — zachichotało mu coś wewnątrz — ha! ha! — już zapóźno, oni cię o pozwolenie pytać nie będą, sami teraz wezmą. Znają aż nadto twoją tajemnicę, znajają ów stop metalu, na który promienie nie działają... zniszczysz jeden zbudują samolot drugi... ha! ha!

Dorlicz złapał się za głowę. —

Niema dla mnie wyjścia — jęknął przerażony — koniec.

Padł nawpół przytomny na niską kozetkę. Dreczony wyrzutami sumienia poczuł się Polakiem, zdecydował się — trzeba coś zrobić!

Ach! mam myśl — krzyknął — będę się starał, by doszli do wniosku, że metal, który stworzyłem, nie przedstawia dla nich żadnej wartości w walce z promieniami. Skończę przy sposobności z tem psem życiem. Dla mnie niema miejsca w Ojczyźnie... pojedę tym samolotem na Warszawę, lecz pojedę po śmierć.

Ubrał się szybko. Wyszedł na ulicę. Wskoczył do przejeżdżającego taxisa.

Na lotnisko — rzucił szoferowi.

Za chwilę był już w jasno oświetlonym, obszernym garażu, gdzie montowano jego samolot. Skinął na inżyniera, dozorującego robotę.

Może pan iść do domu — oznajmił łaskawie — sam resztę przypilnuję.

Teraz Dorlicz przystąpił do dzieła. Znalezione mi w składach lotniska czterema potężnymi, stalowymi nitami kazał przymocować olbrzymie płyty do kadłuba samolotu. Plan więc był jasny; przy działaniu promieni, śruby jako stalowe, wytopią się napewno a wtenczas... o tem wolał Dorlicz nie myśleć.

---

Następnego dnia wszystko było gotowe. Obszerne lotnisko Berlina zalegały tłumy. Wojną z Polską dość się interesowano, nie na tyle jednakże, by wojna ta stanowić miała dla nich wydarzenie wielkiej wagi. Przebieg jej obserwowano tak, jak obserwuje się walkę dwóch zapasników, z których jeden jest obcokrajowcem. Wierzono, że zakończy się zwycięstwem orła czarnego. Ludności cywilnej Niemiec nic nie zagrażało.

W środku tłumu stał biały, olbrzymi aparat lotniczy. — Ostatnie przygotowania. Do kabiny wchodzi błądy Dorlicz. Za sterem usadawia się znany as lotniczy Niemiec.

Ostatnie rozkazy i biały ptak wolno toczy się na linję startu. Chwila oczekiwania i samolot wzniósł się w przestworza. Okrążył lotnisko i, owacyjnie żegnany, znikł z oczu patrzących.

11025-A

WIMBP  
im.  
J. P.  
w Łodzi

Samolot okazał się świetnym, kierowany wprawą ręką pilota wzbił się na 8 tysięcy metrów i leciał w kierunku Warszawy.

Za godzinę miały rozstrzygnąć się losy dwu narodów.

W kabinie powietrznego, śmiertelnie niebezpiecznego ptaka przygotowywano się do napadu. W przygotowaniach tych nie brał udziału jedynie Dorlicz. Załoga spojrziała w jego stronę. Modlił się — wyszeptali. Twarze ich przyjęły wyraz bezgranicznego zdziwienia. — Jakto, ten Amerykanin, walczący po naszej stronie, nie wierzy w zwycięstwo przez siebie skonstruowanego ptaka?... dziwne.

Dorlicz zauważył ich zdziwione miny — zakończył modlitwę. Ha! idziemy po zwycięstwo — zwrócił się do towarzyszków — co? — roześmiał się.

Śmiech ten był nienaturalny, miał w sobie coś szatańskiego. Załoga ze zgrozą i bojaźnią przyglądała się swemu dowódcy. — Oszalał? czy co? — zadawano sobie pytania i każdy z nich poczuł, że strach potężnieje i przedradza się w chęć natychmiastowego powrotu.

Panie, wracajmy, jedziemy po śmierć — zawołał w stronę Dorlicza.

Roześmiał się poraz drugi. — Za godzinę będziecie mogli wrócić... zobaczycie... trzymajcie mię za słowo.

Zbliżali się do Warszawy. Dorlicz modlił się. Załoga zaprzestała przygotowań. Skupiona w rogu kajuty przeżuwała zbliżającą się śmierć. Zauważyli, że dowódca modlitwę skończył i wszedł do kabiny pilota. Czekali na znak spuszczenia pierwszych pocisków. Rozkaz nie nadeszedł. Krążyli nad Warszawą. Znaleźli się nad lotniskiem. Z ponad dachu jednego z hangarów posypał się drobny rój świecących iskierek. Aparat Dorlicza działał.

Oczom stojących na lotnisku przedstawił się widok straszny. Od kadłuba samolotu oderwały się płyty i wolno poczęły spadać. Kadłub siłą rozpędu popłynął dalej... stracił wreszcie kierunek i runął z wysokości tysiąca metrów. Widok naprawdę był przerażający; kadłub rozpędzonego potwora leciał wprost na hangar, na którym znajdował się aparat, wysyłający promienie. Za chwilę powietrze przeszły straszliwą detonacją. Błysnął w górę słup ognia i zrobiło się tak cicho, że słysząc było głos znajdującej się na lotnisku matki Czapskiego: Boże!... zginął...

Gruzami rozbitego aparatu przykryta została tajemnica promieni Darjusza Dorlicza.

EDWARD SOKOPP. Kł. VII.

Gózd 23 sierpnia 1928 r.

## KRONIKA.

**KÓŁKO LITERACKIE.** Dnia 11-go marca r. b. odbyło się zebranie kółka literackiego, na którym kol. Chmielewski złożył w zastępstwie kol. T. Galusa sprawozdanie z bieżącego ruchu literackiego a kol. Fastyn odczytał referat n. t.: „Wróg ludu Ibsena a Ludzie bezdomni Żeromskiego“. W sprawozdaniu była mowa o „Elegjach“ Żeromskiego, „Pamiętniku“ Gliniki oraz o Baranowskim, Gandeczim, W. Grubińskim, J. K. Bandrowskim, Umiastkowskim i Augustynowiczu. P. prof. Anders podkreślił wartość podobnych sprawozdań, dających pogląd na literaturę współczesną a jednocześnie uzupełnił je, mówiąc o „Zarzewiu“ i „Płomieniu“ Rogali. W dyskusji nad referatem, mającej charakter uzupełniający, zabierali głos kkol.: Pokrzywnicki, Chmielewski i Fromer. P. prof. Anders omawiając referat, Podzielił twórczość Ibsena na trzy działy: historyczny, filozoficzny i aktualny oraz podkreślił stanowisko Ibsena jako dramaturga, Żeromskiego zaś jako powieściopisarza. Referat oceniono jako dobry, w którym należało jednak zwrócić uwagę na formę, jaką nadawali dziełom swym ci dwaj znakomici twórcy. Na tem zebranie zakończono. Przewodniczył kol. M. Kościszko.

Dnia 9-go września r. b. odbyło się organizacyjne zebranie kółka literackiego, na którym dokonano wyboru nowego zarządu. W skład zarządu weszli koledzy: J. Fastyn (prezes), E. Szymański (sekretarz) i M. Sowiński (zastępca). Sprawę programu działalności kółka omówił p. prof. Anders, wskazując szereg tematów przyszłych prac. Jednocześnie odbyło się zebranie zeszlorocznego komitetu redakcyjnego „Przebojem“ przy współdziałaniu także i nie-członków. Zebranie wybrało komitet redakcyjny na rok 1928/9 w następującym składzie: Fastyn Józef, Bukalski Lech, Szymański Stanisław, Sokopp Edward, Galus Tadeusz, Szymański Eugenjusz, Aktaboski Stefan, Oyrzanowski Bronisław, Szenajch Włodzimierz i Kuncewicz Leon. Postanowiono, że każdy z członków komitetu redakcyjnego przez jeden miesiąc będzie pełnił obowiązki redaktora naczelnego.

Dnia 7-go października r. b. odbyło się zebranie kółka literackiego, na którym kol. S. Aktaboski złożył sprawozdanie z bieżącego ruchu literackiego a kol. J. Fastyn wygłosił referat n. t.: „Cyprjan Norwid“. W dyskusji nad sprawozdaniem zabrał głos p. prof. Anders i koledzy: T. Galus i J. Fastyn. Po wygłoszeniu pięknie opracowanego referatu kol. Fastyna zabierali w dyskusji głos: kol. Cz. Krawczyk i p. prof. Anders. Referat miał za cel uświadomienie kolegom, na czem polega wielkość znakomitego, niestety niedocenionego poety, malarza i rzeźbiarza. P. prof. Anders zakończył dyskusję, zachęcając zebranych do zaznajomienia się z twórczością wielkiego myśliciela — poety.

**KÓŁKO HISTORYCZNE.** Dnia 17-go września r. b. odbyło się organizacyjne zebranie kółka historycznego. Dokonano wyboru zarządu, w skład którego weszli kkol.: W. Guzek (prezes), Cz. Krawczyk (vice-prezes) i M. Łukawski (sekretarz). Przewodniczył kol. L. Bukalski.



Z „BRATNIEJ POMOCY“. Dnia 26-go września r. b. odbyło się pierwsze zebranie zarządu „Br. Pomocy“, poświęcone sprawom wewnętrznym. Dokonano podziału funkcji; kol. Sokopp Edward objął stanowisko prezesa, kol. Szymański Eug. — sekretarza. Wiceprezesami (I i II) mianowano kkol.: Aktaboskiego i Górkiewicza. Przewodniczył kurator Br. Pomocy p. prof. Urban.

Dnia 29-go września r. b. odbyło się drugie zebranie zarządu „Bratniaka“ w obecności kuratora p. prof. Urbana i p. dyrektora Kozłowskiego. Na zebraniu uchwalono projekt budżetu „Br. Pomocy“ na rok przyszedły. Przy rozpatrywaniu kwestji rozchodów nadzwyczajnych wyłoniła się sprawa kupna aparatu kinematograficznego, co ma być w niedalekiej przyszłości zrealizowane. Następnie rozpatrywano sprawę świetlicy i szereg podań, które ostatnio wpłynęły. Na zakończenie p. prof. Urban odczytał okólnik ministerstwa, apelujący do młodzieży, by uświetniła uroczystym obchodem dziesięciolecie niepodległości państwa polskiego. Przewodniczył kol. Sokopp.

Dnia 19-go września r. b. odbyło się walne zebranie członków „Br. Pomocy“ z następującym porządkiem dziennym; 1) Zagajenie i wybór przewodniczącego, 2) Odczytanie protokołu z ostatniego walnego zebrania, 3) Sprawozdanie zarządu z działalności instytucji za rok 1927/8, 4) Sprawozdanie kasowe, 5) Sprawozdanie Komisji rewizyjnej, 6) Wybory do Zarządu na rok 1928/9, 8) Wolne wnioski. Zebranie zagał prezes Br. Pomocy, kol. E. Sokopp, zapraszając na przewodniczącego kol. L. Bukalskiego. Następnie kol. prezes zdał szczegółowo sprawę z działalności Zarządu w roku 1927/8. Zebranie udzieliło usłupującemu zarządowi absolutorjum. Na mocy wyborów do zarządu „Br. Pomocy“ na rok 1928/9 weszli kkol.: Edward Sokopp, Tadeusz Galus, Eugenjusz Szymański, Stefan Aktaboski i Feliks Górkiewicz, do Komisji rewizyjnej: Z. Gruszczyński, L. Kordecki i L. Kuncewicz. Po omówieniu niektórych drobniejszych kwestyj zebranie zamknęło o godzinie 14-ej.

REKOLEKCJE. Dnia 21, 22 i 23 marca r. b. przed południem odbyła młodzież naszego Gimnazjum przedwielkanocne ćwiczenia rekolekcyjne, 23-go marca w godzinach popołudniowych przystąpiła do spowiedzi a 24 i 25-go marca do Komunii Św.

DZIADY. Staraniem „Br. Pomocy“ zostały wystawione w teatrze Straży Ogniowej „Dziady“ A. Mickiewicza, a mianowicie cztery obrazy wiekopomnego dzieła: 1) Na cmentarzu 2) W kaplicy, 3) Na plebanji i 4) W celi Konrada — pod reżyserją p. prof. M. Burki. Role męskie wykonali uczniowie Gimnazjum, żeńskie — uczennice p. B. Jelskiej oraz specjalnie zaangażowane panie. Frekwencja podczas przedstawienia była znaczna, głosy publiczności przychylnie.

ZEBRANIE RODZICÓW. Dnia 1-go kwietnia r. b. odbyło się okresowe Zebranie Rodziców.

WIELKANOC. Tegoroczne ferie wielkanocne trwały od 3-go do 16-go kwietnia włącznie.

FERJE LETNIE. Tegoroczne ferie letnie rozpoczęły się dnia 26-go czerwca r. b i trwały do dnia 3-go września r. b.

**ROZPOCZĘCIE ROKU SZKOLNEGO.** Rok szkolny 1928/9 rozpoczęła młodzież naszego Gimnazjum nabożeństwem, odprawionem dnia 3-go września r. b. w miejscowym kościele parafjalnym.

**TYDZIEŃ DZIECKA i ŚWIĘTO MATKI.** Dnia 16-go września r. b. t. j. w niedzielę zainaugurowano uroczystą manifestację pochodową z transparentami, na których widniały hasła oświatowe. Tydzień Dziecka obchodzony był w całej Polsce. Uczniowie naszego Gimnazjum wzięli udział w pochodzie na plac przed Sierocińcem Im. Dr. Troczewskich, gdzie do licznie zgromadzonych przemówiła p. starościna J. Zbikowska. Niedziela dn. 23-go września poświęcona była Świętu Matki.

**Z TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ GIMNAZJUM.** Dnia 30-go września r. b. odbyło się walne zebranie członków Towarzystwa Przyjaciół Gimnazjum.

Dnia 12-go i 13-go października r. b. przystąpili uczniowie naszego Gimnazjum do spowiedzi i Komunii św.

Z początkiem roku szkolnego opuścił nasze gimnazjum ogólnie przez młodzież lubiany p. prof. Iwaszkiewicz, przenosząc się do Jarosławia.

**ZGON D-RA ANTONIEGO TROCZEWSKIEGO.** Dnia 22-go września r. b. o godz. 5.30 rano zmarł w Kutnie zasłużony działacz narodowy, główny fundator Gimnazjum im. H. Dąbrowskiego (dawniej Szkoły Handlowej), niezmordowany działacz na niwie społeczno-kulturalnej, organizator wielu Kółek rolniczych na terenie pow. Kutnowskiego, znakomity lekarz, Dr. Antoni Troczewski. We wspaniałym pogrzebie zasłużonego patrioty, który się odbył dn. 24 września r. b., wzięła udział i młodzież naszego Gimnazjum.



---

Wydawca: Zarząd Bratniej Pomocy w osobie prof. URBANA.

Kierownik literacki: prof. ANDERS.

---

Komitet redakcyjny: uczniowie.

Redaktor odpowiedzialny: kol. Tadeusz Szymański.

Redaktor naczelny kol. Józef Fastyn.

Członkowie kkol.: Lech Bukalski, Stefan Aktaboski, Tadeusz Gallus, Edward Sokopp, Eugenjusz Szymański, Stanisław Szymański, Leon Kuncewicz, Bronisław Oyrzanowski i Włodzimierz Szenajch.

---

Adres Redakcji: Kutno, Gimnazjum Państwowe im. H. Dąbrowskiego.

---

Druk J. Calkowskiego w Kutnie.



